

I.

Nanna, czyli efekt motyla

1.

— Cholera jasna! Znów nic!

Kuba, oderwany nagle od czytania, spogląda na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Odkłada z niechęcią książkę.

Siedzimy w naszym sopockim mieszkaniu, jak zawsze, każde przy swoim komputerze. Słońce zachodzi, na drewnianej podłodze przesuwają się cienie krzesel. Zapalam papierosa, dym miesza się ze złotym kurzem w powietrzu. Ładne to. Patrzę na Kubę. Pytająco unosi głowę.

— Słuchaj, wygląda na to, że ta cholerna Dunka zrobiła nas w konia. Wpłaciłam jej kasę, jak Bóg przykazał, ona miała tylko potwierdzić termin. I od tygodnia się nie odzywa. Bez potwierdzenia przecież nie pojedziemy. Niech to szlag trafi! — Znów zacynam się wkurzać. — Chyba nici z naszych wakacji. Rozumiesz, przez jakąś babę. Nazywa się Nanna Christiansen, nawet jej na oczy nie widziałam, ale zapamiętałam sobie to nazwisko na zawsze. No, powiedz coś. Co jeszcze możemy zrobić?

Kuba milczy. Patrzymy na siebie wyczekująco, w końcu przerywam ciszę.

— Co robimy? Czekamy dalej?

Jest sierpień 2007 roku. Do naszego wyjazdu do Kopenhagi zostało dziesięć dni. Mieliśmy tam pojechać na krótki, tygodniowy, może ośmiodniowy wypoczynek. Jeśli właścicielka zarezerwowanego mieszkania odpowie nam tuż przed samym wylotem, bilety lotnicze nas zrujnują. Albo nie będzie już biletów. Albo kupimy bilety, a ona nie raczy się odezwać, i co? Jedziemy w ciemno i koczujemy pod jej domem? To śmieszne.

Kuba, zatopiony we własnych myślach, trochę nieobecny, nie wydaje się specjalnie przejęty. Zerka ukradkiem do odłożonej książki. Wygląda na to, że zagałłam w złym momencie. Bardziej go zajmuje historia muzyki niż zmarnowane wakacje.

— Kuba, skup się. Jeśli ten babsztyl nie odpowie, mamy problem.

Kuba poprawia się na krześle, odsuwa książkę i zaczyna z namysłem nabijać fajkę. A to znaczy, że wrócił do niewygodnej rzeczywistości. Wypuszcza kłęb dymu, który wędruje niespiesznie do góry, unoszony ciepłym powietrzem, i spogląda na mnie znad kolejnej chmury.

— Poczekajmy do jutra, okej? Pisałaś do niej, że musimy zerwować lot?

Patrzę na niego z rezygnacją. Tak, tak — potakuję. Napisałam przynajmniej pięć maili, tyle tylko, że o tym nie trąbię. Przecież to oczywiste.

— Wyślij jeszcze jednego maila i zagroź, że jeśli nie odpowie, rezygnujemy. Oczywiście, ona ma naszą kasę i wie doskonale, że nie będziemy słać reklamacji w przestrzeń kosmiczną... Hmm, coś wymyślimy. — Uśmiecha się i dodaje filozoficznie: — Zobacz, jaka siła tkwi w stereotypach... Nasza Dunka zarabia na wierze w skandynawską rzetelność. I na naszej naiwności, bo jesteśmy pewni, że Duńczycy nie kłamią.

— Bo mają zadbane, czyste mieszkania i proporcjonalne rysy

twarzy — dodaje. — Rumunce nie wysłałabym zaliczki. Nawet ładnej. To nie jest fajne, co?

— Nie.

Kuba wypuszcza dym i zaczyna myśłami wędrować coraz dalej i dalej. Więcej z niego dziś nie wycisnę. Wyczerpaliśmy dzienną dawkę zaangażowania. Znów popadamy w milczenie. Odsuwam zasłony, na zewnątrz jest już szaro.

Za oknem słycać odgłosy wieczornej sierpniowej ulicy: nawoływania dzieci na kolację, szczekanie wyprowadzanych psów, rozmowy spacerowiczów. Górny Sopot prowadzi swój własny, letni dialog. Uspokajam się i nasłuchuję z przyjemnością. Patrzę chwilę przez okno, na ciemniejące o zachodzie wzgórze. Jakiś zabłąkany trzmiel uderza głośno o szybę. A może dać sobie spokój z wyjazdem i zostać w domu? Spędzić czas na słodkim nicnierobieniu? Mieć w końcu czas na wylegiwanie się do południa, długie rozmowy w łóżku, picie wina do śniadania, uprawianie seksu trzy razy dziennie i czytanie do wieczora? Uśmiecham się. A potem można posiedzieć ze znajomymi na Monciaku, poprzyglądać się, nie bez złośliwej satysfakcji, strzaskanym na heban i spalonym na szkarłat turystom, pogadać o niczym, ponarzekać na knajpy i umawiać się na wyjazd do Skowronek, gdzie są zawsze puste, białe plaże. Kusi mnie perspektywa starych przyjemności. Po namyśle postanawiam jednak wysłać Nannie jeszcze jedną, jasno sformułowaną wiadomość. Cóż mi pozostaje? Na szczęście nie zapłaciłam jej całej kwoty, tylko niewygórowany zadatek. Co nie zmienia faktu, że mam prawo być wściekła. Mamy tylko parę dni wakacji w roku, ten wyjazd planowaliśmy od wiosny, wszystko jest niemalże dopięte na ostatni guzik! Chyba już nie lubię Duńczyków.

2.

Nanna Christiansen nie odpowiedziała. Dwa dni później siedzimy z Kubą przy stole w kuchni, pijemy kawę i milczymy

smętnie. Sięgam po ulubione ciastko czekoladowe, nie tak nie koi zgryzoty jak coś słodkiego. Wyjazd do Kopenhagi to nie miał być zwykły wakacyjny wypad, to miała być jednocześnie pierwsza przymiarka do życia w Danii. Rozglądanie się po mieście z myślą, czy da się tam zamieszkać i odnaleźć. Nasz luźny, nie do końca sprecyzowany życiowy plan zakładał, że w perspektywie kilku lat osiedlimy się w Kopenhadze, by wieść tam nudne, mieszczańskie i pozbawione polskiego polotu życie. Uporzędkowany, przewidywalny świat. Bezpieczeństwo na ulicach, dobra kawa w każdej knajpie, ładne wzornictwo, fajne ciuchy, spokojna starość. Brak psów obronnych i ich testosteronowych właścicieli. Kameralność Kopenhagi była dodatkowym atutem. Nasze słowiańskie dusze, jakby wbrew sobie, marzyły o skrępowaniu się poprawnością i zasadami. A teraz wakacyjne plany leżały przed nami pokruszone jak ostatnie herbatniki w pudełku.

— Co robimy? — zadaję po raz kolejny to samo głupie pytanie. I dodaję: — Sprawdzalam loty. Do Kopenhagi nie ma już miejsc na piętnastego i szesnastego sierpnia.

— Lećmy później.

— Później przyjeżdża Marta, nie widziałam jej z pół roku, ja zaczynam kolejne zlecenie, zaraz wrzesień, twoja szkoła, dupa.

Zapada cisza. Sięgam po kolejne ciasteczko czekoladowe. Zjadam je powoli, w ten sam sprawdzony sposób: najpierw czekolada z wierzchu, później owocowy środeczek, na koniec kruchy spód. Pycha.

— Idę po komputer.

Kuba wstaje i znika za drzwiami. Aha, teraz on bierze sprawę w swoje ręce. Ciekawe, jak zmusi Dunkę do jakiegokolwiek reakcji. Co takiego jej wyśle, żeby coś napisała, choćby tylko tyle: „Frajery, pozdrawiam z Cyklad, dobrze się bawię za waszą kaskę, nie jedźcie do Danii, bo mnie tam nie ma, buziaki”. Kuba wraca z laptopem i siada przede mną. Zrezygnowana przyglądam się Serkowi, jednej z naszych dwóch kotek devonek, śpiącej na siedząco na wąskim kaloryferze. Pochyliła nisko głowę i kołysze się nad przepaścią, czyli szparą pomiędzy grzejnikiem a stołem.

Czekam cierpliwie na kocią katastrofę. W myślach rzucam monetę; orzeł, czyli nie spadnie.

Wierzę w różne umiejętności mojego męża, ale tutaj nie liczę na jakiś wielki sukces. Patrzę, jak Kuba w skupieniu coś pisze.

— Sprawdzam loty z Gdańska — informuje mnie mój ukończony. — Możemy lecieć do Rzymu, bezpośrednio, Wizzaiem. Są miejsca.

Zaspany Serek z hałasem ląduje na podłodze. Jęk. To ja.

— Rzym? Latem? Chcesz nas zabić? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Masz lepszy pomysł?

Nie mam, fakt. Moim pomysłem było pozostanie w domu. Mało odkrywczę, wiem, ale proste i tanie. Kurczę, Rzym. Zaskoczył mnie. Kolejne ciasteczko znika w moich ustach. W myślach dają sobie po łapach. Dosyć. Ostatnie. No więc Rzym. Wydawało mi się, że jeśli tam, to tylko na pielgrzymkę. A na to mam czas. Moja osobista księga grzechów ma jeszcze kilka pustych kartek.

Ubiegły urlop spędziliśmy w Portugalii, pierwszy raz bez samochodu. Podróżowaliśmy pociągami na trasie Lizbona–Coimbra–Porto. Było super. Czas się dla nas zatrzymał. Może mała powtórka?

— Ale nie chcę wyjeżdżać do Rzymu. Gorąco, tabuny turystów, brud.

— Anka, nie kwękaj, dobrze? Poza tym jedziemy do Włoch, a to duży kraj. Nie chcesz Rzymu, okej, jedźmy do Sieny. Albo do Lecce. Ale jedźmy, bo za chwilę okaże się, że siedzimy w domu i opłakujemy zakończony właśnie sierpień.

Patrzy na mnie z uśmiechem. Sięga po moją rękę, kładzie blisko siebie na stole i nisko pochylając głowę, całuje mnie w wierzch dłoni. Unosi wzrok i mruga do mnie porozumiewawczo.

— Okej? Kopenhaga tym razem nie dla nas. Pojedziemy tam później, znajdziemy naszą Dunkę, wynajmiemy jej mieszkanie i wszystko wysmarujemy polską musztardą, chcesz?

Uśmiecham się i zaraz marszczę nos. To opłakiwanie to

o mnie. Ale nie dam się sprowokować. Wizja musztardowej fiesty trochę mnie uspokaja. Co nie przeszkadza mi sięgnąć po następne ciastko. Spoglądałam na Kubę. Ciekawe, czy wie, że nieszczęśliwe kobiety ważą więcej. Ale z kolei chude nie potrafią cieszyć się życiem... tak przynajmniej pocieszają się te grubsze. Do diabła z tym! Odkładałam nadgryzione ciastko na talerzyk. Jeśli mam jechać do ciepłych krajów, to muszę w siedem dni zrzucić siedem kilo.

— Zobaczyłaś Chiny, a nie widziałaś kolebki zachodniej cywilizacji. — Mój mąż wyciąga kolejny dziwaczny argument.

— Ty też — odcinam się mało błyskotliwie.

Patrzmy na siebie lekko zjeżeni.

— Anka, słuchaj, jedźmy do cholernej, zachwalanej do obrzydzenia Toskanii. Nigdy tam nie byliśmy, może już czas, byśmy sprawdzili, czy jest o co się bić? Będziemy narzekać na temperaturę, pocić się na rozgrzanych placykach średniowiecznych miasteczek, będziemy upijać się tanim winem *della casa* i robić awantury w restauracjach. A w międzyczasie będziemy potykać się o zabytki, aż pościeramy sobie kolana. A potem pojedziemy gdzieś na kilka dni nad morze zatruć się porządnie rybami. To co, wchodzisz w to?

Uśmiecham się do Kuby. Chyba jednak go kocham.

— Zapomniałaś, panie mądry, o bąblach na stopach i skradzionych dokumentach. Ale i tak brzmi to niezłe.

Ciągle jednak myślę o sopockich letnich przyjemnościach, o uroczej wieczornej rewii i Rosjankach śpiewających przy akompaniamencie akordeonu...

— Okej. — Kuba zamyka laptopa i kończy sprawę. Wstaje, wkłada kubek po kawie do zmywarki, sięga po ciastko, jedyne, co z westchnieniem stwierdzam, i bierze laptopa. Patrzy na mnie przez chwilę.

— Wiesz co, Anka, ten pomysł jest... hmm... doskonały. Pamiętaj, kto na niego wpadł. A teraz ty znajdź kogoś, kto zajmie się naszymi kotami i psem — rzuca na odchodnym.

Mądrała, dla niego order, a dla mnie dźwiganie szabli. Boże,

co za wojskowe porównania, co się ze mną dzieje? Przecież planowanie wakacji to nie wojna.

Jakby czując, że o nim mowa, Serek wskakuje na kaloryfer, patrzy mi przez chwilę w oczy tym swoim ponurym, ciężkim wzrokiem seryjnego mordercy i zaczyna ponownie mościć się do snu.

Odwieczny problem właścicieli zwierzaków — poszukiwanie jelenia, który latem będzie sprzątał kupy nie swoich kotów i psów. Mamy w tym względzie nie najlepsze doświadczenia: stara ciotka z Piły, która zamęczała naszych sąsiadów szczegółowymi opowieściami, jak to „ci lekarze złodzieje wycięli jej pół okrężnicy”. Musiała to być traumatyczna, długa opowieść z wieloma detalami, bo większość sąsiadów przestała się nam kłaniać. Potem był syn przyjaciół, przygotowujący się do egzaminów, który w ciągu ośmiu dni wypił cały zapas naszego alkoholu i zjadł pięć kilo najlepszego, kaszubskiego miodu. Swoją drogą, nigdy nie miałam okazji dowiedzieć się, czy zagryzał miodem, czy go zapijał. Rozstaliśmy się burzliwie, ale z tego, co słyszałam, egzaminy zdał. A ostatni był rozwodzący się kolega, który potrzebował spokoju, by przemyśleć życiowe decyzje. Później okazało się, że każdy wieczorny spacer z psem kończył, wiedziony jakąś szczególną refleksją, w sopockim SPATiF-ie, skąd nasza poczciwa Pinia wyprowadzała go o czwartej nad ranem i holowała pijaniutkiego do domu. To nie było chyba właściwe towarzystwo dla dziesięcioletniej suki. O tańcach na stołach nie wspomnę, widocznie Marek należał do tej grupy mężczyzn, którym o własnym rozwodzie najlepiej myśli się w ruchu, w towarzystwie gołobrzuchych szesnastolatek.

— Jeśli o to chodzi, to mam pewien pomysł — komunikuję, zanim Kuba zniknie, by znów pograć się w lekturze. — Kaśka.

Kuba zatrzymuje się, posyła mi szeroki uśmiech, unosi kciuk do góry i faktycznie znika. Wraca do swoich historycznomuzycznych książek w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Całą nudną resztę, czyli zakup biletów, szukanie noclegów, rozmowę

z Kaśką i obmyślanie trasy, pozostawia mi, bez żalu czy wyrzutów sumienia, bo obydwójce wiemy, że zrobię to lepiej. Idę więc do swojego komputera, nie zapominając o naprawdę ostatnim już ciasteczku. Na korytarzu słyszę, jak Serek z hukiem ponownie ląduje na podłodze. Jednak reszka.

3.

Dzwonię do Kaśki, do Poznania, zaufanej sąsiadki mojej nieżyjącej już babci. Kaśka to prawie rodzina. Moja ukochana babcia Marcia przeszła dawno temu na emeryturę i zaraz potem zaczęła marnieć w oczach i narzekać na zdrowie. Stało się dla wszystkich jasne, że brak pracy jej nie służy. Gdy więc pewnego dnia zapukała do niej mieszkająca naprzeciwko Kaśka, by prosić o pomoc w opiece nad małym Marcinkiem, babcia natychmiast i ochoczo przyjęła propozycję. Potem Kaśce urodziło się kolejne dziecko, Gosia, i tak zeszło prawie piętnaście lat. I niespostrzeżenie moja babcia stała się babcią dla rodziny Kaśki, w której mimo licznych potyczek i rodzinnych wojenek wszyscy są ze sobą blisko zżyci. Kasia, jej trzy siostry, brat, żyjący jeszcze tato, wszyscy mężowie sióstr, żona brata, kuzyni, wszystkie wnuki, cała familia, razem będzie tego pewnie z pięćdziesiąt osób. Dla mnie, córki jedynaczki, wychowywanej także bez rodzeństwa, taka rodzina to absolutny folklor. Te wszystkie urodziny, imieniny, spotkania, niedzielne obiady, święta, śluby, pogrzeby. Te rozmowy o dalekich i bliskich krewnych, wymyślanie prezentów, cotygodniowe spotkania przy cieście i kawie, koniecznie z fusami i w szklankach. Gdy Kaśka kupuje w sklepie herbatę, wkłada do koszyka od razu dziesięć paczek, bo przecież musi kupić również dla Krysi, Danusi i Zosi. I wzajemnie.

Muszę przyznać, że od lat przyglądam się tej rodzinie ze zdziwieniem i pewną zazdrością, obserwując ich wzajemne relacje i delikatną sieć zależności, i czasem zastanawiam się, jak bardzo byłabym inną osobą, gdybym miała obok siebie takie nieprze-